

665

W przeciwieństwie do poprzedniego sezonu, kiedy przedstawienia w Teatrze Polskim robione były głównie z myślą o widowni młodzieżowej, w tym sezonie dzieje się inaczej, a ostatecznie nawet wprost przeciwnie. Największe premiery zarówno na Scenie Dużej, jak i Scenie Małej, to znaczy „Wdowy” i „Ulisses”, opatrzone są zastrzeżeniami: „tylko dla dorosłych”.

„Ulisses”. Jeszcze nie minęło 15 lat od chwili, kiedy prawdziwą sensacją stało się pierwsze polskie wydanie głośnej powieści Jamesa Joyce’a. Tyle o niej wcześniej mówiono i pisano, że książkę wrywano sobie niemal z rąk. Zaraz potem okazało się, że lektura jej, to sprawa wcale nieprosta. Doskonale pamiętam, że przeczytanie „Ulissesa” od początku do końca wymagało nie lada wysiłku i cierpliwości, należałoby powiedzieć: samozaparcia. Z rozczarowania wśród znajomych wiem, że większość z nich nie przeknęła tego w całości i w pierwszym lepszym momencie odkładała książkę na półkę. Sam wytrwałem do końca, ale szczerze mówiąc nie wyniosłem z tego żadnej przyjemności, ani satysfakcji. Nie spotkałem też od tego czasu nikogo, kto by przyznał, że „Ulisses” dostarczył mu głębszych przeżyć. Podejrzewam, że odłód, a w 1975 r. było jeszcze drugie wydanie „Ulissesa”, ta książka leży pewnie na widocznym miejscu w wielu domowych bibliotekach, ale chyba nikt do niej nie zagląda.

Zaraz po pierwszym wydaniu jed-

nak, tłumacz, Maciej Słomczyński popopełnił na jej kanwie utwór dla teatru pod tym samym tytułem. „Ulissesa” tego wystawił w 1970 r. Teatr „Wybrzeże” w Gdańsku w reżyserii Zygmunta Hübnera. Przedstawienie spotkało się z dużym uznaniem krytyki, co bynajmniej nie przyniosło w rezultacie kolejnych inscenizacji.

Teraz, po latach, „Ulisses” w Teatrze Polskim w Szczecinie jest właśnie drugą realizacją tego utworu. Dlaczego „Ulisses” i dlaczego tutaj? Prawdopodobnie w teatrze przy ul. Swarzędzkiej można by na to usłyszeć wiele uzasadnień i szkoda, że nie próbowano chociaż częściowo ich zaprezentować w programie przedstawienia.

Nawiasem mówiąc dobrze byłoby chyba, aby widz mógł dowiedzieć się z takiego programu dlaczego teatr proponuje mu do obejrzenia jakąś sztukę, czym się kierował wybierając ją do repertuaru, a ewentualnie także coś niecoś o intencjach i zamysłach realizatorów. Sądząc, że tego rodzaju informacje byłyby mile przyjmowane przez publiczność, tymczasem w istniejącej praktyce programy teatralne nie dają najczęściej widzowi żadnej wiedzy na temat sztuki i jej przedstawienia.

Niezależnie jednak od tego, jaka byłaby odpowiedź teatru na pytanie: dlaczego „Ulisses”? — nie wydaje mi się, aby mogła ona w pełni uzasadnić, że dzisiaj, tu i teraz, należało właśnie wystąpić z tą propozycją. Przybliżenie publiczności jednego z

wielkich i oryginalnych dzieł literatury światowej? Nie przesadzajmy. „Ulisses” Słomczyńskiego jest tylko w części odbiciem „Ulissesa” Joyce’a i kto nie czytał tego dzieła, ten do prawdy mizerne i spalone będzie miał wyobrażenie o nim. Podejrzewam, że jak szereg innych utworów wystawianych ostatnio w teatrach, między innymi „Gyubal Wahazar” w szczecińskim Teatrze Współczesnym,

Wanda Laskowska w scenografii Barbary Jankowskiej, z muzyką Włodzimierza Kotońskiego.

Jednodniowa wędrówka po Dublinie irlandzkiego Ulissesa, w tym przypadku akwizytora, Żyda, Leopolda Blooma, odbywa się w niezmiernie przez cały czas scenerii, w której na pierwszym planie znajduje się metalowe łóżko a w nim Molly, żona Blooma, czyli Penelopa. Na

gólnie frapującego. Leopold Bloom, to chodząca przeciętność, skromny, nie wadzący nikomu, wprost pokorny wobec innych, nie wyłączając własnej Molly. Jest w tym być może jakaś osłona przed szykanami, jakie z racji pochodzenia spotykają go czasem ze strony szowinistów, ale zapewne jeszcze w większym stopniu pewien niedostatek, jeżeli chodzi o poczucie własnej męskości, co

na to zasługiwał. Połaczek, bardzo dyskretny w środkach wyrazu, przyćmiewony, jakby przygaszony w sobie, ukazuje Blooma niejako w półcieniu, podkreślając tym jego odrębność od innych, a zarazem właściwie niczego nie dopowiadając do końca, raczej sugerując nachodzące go stany, niż przekazując je.

Przeciwieństwem tej osobowości jest bardzo ekspresywna Molly Janiny Bocheńskiej, zwiaszcza w długich partiach swego monologu, snutego w łóżku. Ten monolog — ostatni epizod powieści Joyce’a — stanowi swego rodzaju ramę całego przedstawienia. Jest tu jednak wyłączenie aktem duchowego ekshibicjonizmu, w którym istota Molly sprowadzona została do czystej fizjologii. Bocheńska wyraźnie nie oszczędza Molly i czyni to przekonywująco. Pokazuje kobietę w gruncie rzeczy prostą i wulgarną w jej wybujałej zmysłowości, ze świadomością wyznaczaną stanami erotycznych pobudeł i ich zaspokojenia. Bocheńska wszakże to nie tylko Molly, ale także wdowa Dignam, matka Stefana, kuława Gerty Mac Dowell, rodząca w boleściach Minna Purefoy, wreszcie szefowa burdelu Bella Cohen. Ta ogromna multirola jest niewątpliwie dużej miary osiągnięciem aktorskim, na które jednak — sądząc — pada niekorzystnym cieniem drastyczność szeregu scen, w niektórych przypadkach rażących swym naturalizmem, jak na przykład scena łóżkowych uciech z Boylanem (Aleksander Gierczak), onanistyczny seans Blooma i

Gerty, poród Minny Purefoy, nie wspominając już o niektórych momentach pobytu Blooma w Nocnym Mieście. Niezależnie od tego w jaki sposób te wszystkie sytuacje zostały opisane przez Joyce’a, realizatorzy przedstawienia nie przejawili tu większego taktu, dyskrekcji, a mówiąc po prostu — dobrego smaku.

Rozbudowanie tych wątków sprawiło — wydaje się — że na dalszy plan zeszyły inne, wcale nie mniej istotne elementy, jak chociażby postać poety Stefana Dedalusa. W rezultacie Stefan — Mieczysław Franczak niewiele znaczy w tym przedstawieniu, sprawia wrażenie, zwłaszcza w pierwszej części, przypadkowo zabłąkanej tam postaci i to wcale nie z winy aktora.

„Ulisses” w Teatrze Polskim ma swoje oczywiste wartości artystyczne, wyrażają się one przede wszystkim w sprawności zmian sytuacji, w jakich znajduje się Bloom, we wkomponowaniu jego przywidzeń i urojeń w rzeczywiste wydarzenia, w przechodzeniu aktorów z roli w rolę. To wszystko przecież nie jest jeszcze w stanie poruszyć widza, wywołać w nim głębszej refleksji, ani też zrehabilitować mu licznych drastyczności, które — trzeba przyznać — powodują jedynie, odczuwalny na sali rezonans dość skutecznie bawiąc co najmniej wybredną część widowni. Pytanie tylko, czy dla tego efektu, bo innych reakcji jakoś nie można zauważyć, warto było i należało wystawiać „Ulissesa”? Osobiście w to wątpię.

Z. WRZOS

# Felieton teatralny Dlaczego „Ulisses”?

„Ulisses” trafił na scenę jako tzw. temat zastępczy, najzupełniej neutralny w aktualnej sytuacji społecznej. Co więcej — śmiałość niektórych scen i języka, jakim mówi się w tym przedstawieniu mogą pobudzać ciekawość publiczności, jest też szansa, biorąc pod uwagę stałą nieobecność tej pozycji na innych scenach, że w kręgach opiniotwórczych rzecz zostanie odpowiednio dostrzeżona, to znaczy z podziwem i uznaniem.

Wcale nie wykluczam, że takie uznanie z różnych stron może „Ulissesa” w Teatrze Polskim jeszcze ocenić, tymczasem pozostanmy przy przedstawieniu, które zrealizowała

środku sceny drewniana skrzynia, która jest i trumną, i grobem Dignama (Antoni Szubarczyk), z której nieboszczyk rozmawia przez telefon, a także szynkwosem w karczmie. Z boku jeszcze stół i wysoki, długi drewniany pomost, sięgający do brzegu morza na horyzoncie, od przodu zaś pełniący funkcję domu Mulligana, a później burdelu w Nocnym Mieście.

Całe to przedstawienie — wędrówka, to w gruncie rzeczy rodzaj drobiazgowej wiwisekcji osobowości Blooma, a ściślej — jej głębszych, bardziej intymnych zakamarków.

Niestety, nie ma w tej osobowości nic imponującego, ani też nic szcze-

łumaczyłyby skłonności mogące uchodzić za dewiacje. Masochizm nie jest bynajmniej jedyną z nich. Osobowość Blooma ukształtowały jego niepowodzenia życiowe: niespełnione marzenia i nieudane małżeństwo, w którym zaraz na początku przyszło mu stracić dopiero co narodzonego syna, a równocześnie z tym nadzieję na posiadanie dziecka kiedykolwiek. To poczucie braku własnego dziecka tworzy praktycznie jedyny bardziej poruszający moment w obrazie psychiki Blooma.

Odnoszę wrażenie, że za sprawą Jacka Polaczka w tej roli, Bloom w przedstawieniu W. Laskowskiej zyskuje trochę więcej sympatii, niż by